

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[12]

DLA DZIECI.

JESZCZE SŁÓW KILKA

## O PAULINIE KRAKOWOWEJ.

Wspomnieliśmy już w piśmie naszym o smutnym wypadku, obchodzącym ogół młodych czytel-

wześnie, podnieść dla czytelników naszych jedną drobną na pozór okoliczność, ale która, jak dla ś. p. Krakowowej wielką w istocie i ważną była, tak pragniemy aby wszystkich dziewczątek i chłopców ważnością swą zwróciła uwagę, i stała się im przy-



Paulina z Radziejowskich Krakowowa.

ników, to jest o śmierci Pauliny Krakowowej, która całe swe życie poświęciła wychowaniu młodych pokoleń i literackim pracom w tym kierunku. Obecnie chcemy jeszcze z życia tego, zgasłego za-

kładem. Mówimy tu o stosunku często nadużywanym, lekceważonym i niezrozumianym między młodzieżą, a przecież jednym z najpiękniejszych na ziemi, który się zwie przyjaźnią. Wzorowy przy-

kład przyjaźni znajdujemy właśnie pomiędzy ś. p. Krakowową i Anielą S, i o tej okoliczności pomówimy. Wszyscy zapewne czytaliście *Pamiętniki sieroty*, napisane przez ś. p. Krakowową, otóż wiedzieć potrzeba, że bardzo wiele rysów tej zajmującej powieści są doskonale prawdziwe, i z pamięci, z własnych przygód autorki spisane. I ona była sierotą, bo matka odumarła ją dzieciną małą, i ona miała znaną nauczycielkę. Ojciec staranny o wychowanie córeczki umieścił ją, gdy lat dziewięć skończyła, na pensyi pani Eibnerowej, jako uczennicę przychodnią. Pensya była trzyklasowa, to jest *wyższa* na owe czasy, a mała Paulina bardzo prędko pracą i zdolnością odznaczyła się, jako także i prawdziwie wyższa, a raczej pierwsza uczennica. Odznaczona i kochana przez wychowawców i nauczycieli, Paulina sama nawzajem uczuła serdeczną przyjaźń dla jednej ze współuczennic, młodszej jeszcze, Anieli, która ochoczo choć bez cienia brzydkiej zazdrości usiłowała Paulinie, tak w pilności, jak w zasługiwaniu na miłość wychowawców, wyrównać. Współbieganie się takie zacne, o cel piękny i wzniosły, nazywa się *emulacją* czyli *szlachetnym współubieganiem się*, i ten to właśnie szlachetny łącznik związał ze sobą na całe życie serca dwóch dziewczynek. Bo tём różni się emulacja od wszelkich innych, mniej szlachetnych *wyścigów do celu*, że łączy serca, zamiast je rozdawać, a łączy jednym z najtrwalszych związków. Czytajcie żywoty ludzi zacnych i wielkich, od starożytnych czasów począwszy, a przekonacie się, że wielu z nich potrafiło sobie zasłużyć u Boga na rzecz tak wielką, świętą i rzadką, jaką jest przyjaźń prawdziwa, ale zarazem dowiecie się, że najczęściej takie prawdziwe, błogosławione przyjaźnie, między rówieśnikami na takichże samych opierały się zasadach i na takiej samej zbudowane były opoce, jak między Pauliną i Anielą. Opoką tą była zacność, prawość obu tych młodych serc i rozum młodych główek, które zamiast jednoczyć się, jak to często bywa, na wspólną stratę drogiego czasu, jednoczyły się we wzajemnym wyściganiu się o jak najlepsze jego użytkowanie. Bo wszakże mnóstwo widzimy po pensjach i szkołach tak zwanych *przyjaźni*, które częstokroć tak dalece bywają niepożyteczne, marnotrawiąc drogie chwile na pustych gawędach, że wychowawcy wcale przyjaźni takich między uczniami nie lubią. Na szczęście, stosunki takie trwają zazwyczaj bardzo krótko. Jak nie wiedzieć dla czego polubią się dwaj współuczniowie, tak też za lada drobnostką, albo i niewiedziąc czemu, przestają się lubić ze sobą. Przyjaźń na niczem, albo na pustocie tylko oparta, w nic się rozwiewa i znika. Ale nie tak się dzieje z przyjaźnią prawdziwą,

która rzadko się zdarza, ale za to trwałą bywa, i przecież istnieje i zawsze istnieć będzie na świecie, dopóki na nim serc zacnych i rozumnych nie zbraknie. Dwie dziewczynki, przyjaciółki z pensyi pani Eibnerowej, mieszkały blisko siebie na Starem Mieście, bywały u siebie wzajemnie bardzo często, a przecież i na pensyi i w obu domach rodzicielskich wszyscy radzi byli ich stosunkowi gdyż starsi i doświadczeni ludzie prędko poznali się na jego wartości, i jak chętnie widzieli owę emulację, która właściwie jest wzajemną w nauce pomocą, tak jeszcze chętniej widzieli wzrastające w młodych sercach trwałe wzajemne przywiązanie. Bo przywiązanie takie, taka przyjaźń na świecie, to niby zbawcza przystań, niby port na oceanie, do którego schronić się może nieraz w życiu zmordowany przygodami podróżnik, i odpocząć, i sił na dalszą drogę zaczerpnąć. Porównanie to życie do oceanu, i przyjaźni do portu, daje się w szczególniejszy sposób zastosować do stosunku naszych dwóch dziewczynek, bo rzeczywiście jedna w domu drugiej nieraz schronienie znajdowała serdeczne. Nic też nie może być miłszego, jak taka wspólna nauka za młodu i wspomnienia o niej na starość: miłsze to od wszelkich zabaw i wspomnień o zabawach. Pani Krakowowa do ostatnich chwil życia ze wzruszeniem i z przyjemnością myślała też i wspominała o dziecińczych i młodocianych swych latach, o tych długich nieraz wieczorach spędzanych przez dwie dziewczynki nad zeszytami i książkami w ogromnym pokoju Pauliny, o starożytnym bogatym obiciu, o ścianach okrutnie grubych, bo w tych ścianach podobno... były jakieś tajemnicze przejścia, prowadzące aż do odległego zamku i do najbliższego kościoła!.. Tamtędy przed wieki chadzali królowie i królowe!.. tamtędy snuły się Bóg wie nie jakie historyczne postacie... aż ze zmianą okoliczności zamurowano drzwi, widoczne jednak, przecięto komunikacją, i starą historyczną komnatę w stariej historycznej kamienicy na Starem Mieście w Warszawie, obrócono na pospolite zwykłych ludzi mieszkanie. Wszak prawda, że nie jedna z młodych czytelniczek rada byłaby mieszkać w podobnej komnacie? I dwie przyjaciółki lubiły też zawsze mieszkanie to, i komnatę ową niezmiernie, a gdy podrosły już, i nauka otworzyła im zamknięte dla nieświadomych podwoje historii, dziewczynki polubiły swe wspólne nieledwie mieszkanie jeszcze bardziej, z powodu jego przypuszczalnej historycznej ważności. Nie rzadko kilka dni świąt poświęcało się na gorliwe starych ksiąg historycznych badanie, aby się przeszłych losów swęj komnaty dowiedzieć; bo ta kamienica starożytna była niegdyś ni mniej ni więcej jak tylko własnością i przez długie bardzo lata mieszka-

niem słynnej w swoim czasie Urszuli Meyerin. Urszula Meyerin, jak niesie podanie, przybyła z Bawaryi, była to najprzód panna dworska, a następnie współpracowniczka trosk i pociech królowej polskiej Konstancyi, małżonki Zygmunta III Wazy. Panna ta powoli doszła do wielkiego na dworze królewskim znaczenia. Nie zawierała nigdy ślubów małżeńskich, pomimo, że najznakomitsi ludzie starali się o jej rękę. Poważał ją Zygmunt król i wychowanie dzieci swych królewskich oraz naukę języka niemieckiego, jej powierzili królestwo. Po śmierci królowej Konstancyi, w starości i niemocach króla Zygmunta III-go aż do ostatniej chwili zgonu, Urszula nieodstępna była. Zakończyła życie w Warszawie w 1635 roku. Taka wpływała niewiasta, wychowawczyni dwóch królów polskich, zamieszkiwała przez lat kilkadziesiąt kamienicę ową na Starém Mieście, a prawdopodobnie właśnie i komnatę Pauliny zajmowała na osobisty swój użytek. Cóż tedy dziwnego, że dwie panienki dorastające, otoczone historycznymi księgami, trawiły nieraz długie w tej komnacie wieczory, zaludniając ją za pomocą młodocianej bujnej wyobraźni mnóstwem historycznych osób, podsłuchując niejako ich rozmowy, losów państw tyżące... Jeżeli przyjaźń dwóch dziewczątek zawiązała się na pensyi, to przy tych rozmowach, przy wypracowaniach historycznych, wspólnie dokonywanych w owej komnacie, utrwalała się z pewnością ta dziecinna przyjaźń na serdeczny, niepospolity związek dwóch niepospolitych dusz niewieścich.

W skutek tak obudzonego zamiłowania do ksiąg i pióra, bardzo też wczesnie zaczęła Paulina próbować sił jako autorka, i kto wie, czy nie owo to pierwotne dziecka otoczenie pokierowało całą literacką pani Krakowowej przyszłością. Żywa wyobraźnia panienki chwytła pokarm ze wszech stron, jak pszczoła miód chwytła ze wszech otaczających ją kwiatów; więc zaraz po wyjściu z pensyi Paulina zaczęła pisać samodzielnie, a przysłuchując się opowiadaniom pewnej Angielki, sąsiadki swjej z trzeciego piętra, z tych opowiadań zbierała już materyały do *Wspomnień wygnanki*. Jednakże pisząc samodzielnie, pracowała ciągle nad nauką Paulina wraz z Anielą, i same z książkami, i z pomocą ojca Pauliny, i z pomocą owej Angielki. Tymczasem zaszły różne na świecie odmiany, które wpływ miały i na ciche, szczęśliwe życie dwóch przyjaciółek. Położenie ojca Pauliny zmieniło się nagle i gwałtownie, i ubóstwo zajrzało do małej, zamożnej dotąd rodziny. I oto po raz pierwszy około 1830 roku otworzyła się dla Pauliny owa serdeczna przystań przyjaźni, o jakiej wspomnieliśmy powyżej. W małym, ubogim mieszkanku, w domu rodziców Anieli, znalazła uboga

teraz mała rodzina miła, bo serdeczne schronienie. Paulina zajęła się tedy pracą ręczną, szyciem koszul, aby staremu ojcu w pracy dopomóc i na skromne życie zarobić. Wkrótce przecież umarł ten ojciec, i biedna sierota po raz drugi, zupełnie już teraz, w sercu jedynie przyjaciółki - i w domu jej rodziców znalazła opiekę, schronienie i współczucie. Po przebyciu ciężkiego czasu żałoby, Paulina chcąc pracować i stać na świecie o własnych siłach, zaczęła zawód nauczycielski. Po kilku latach nauczycielskiej ciężkiej pracy wyszła za mąż za pana Krakowa, potem chcąc starannie wychowywać swą córkę Zosię, zgromadziła do domu swego kilka dziewczynek na towarzyski dla tej Zosi, w nadziei, że i ona znajdzie sobie wśród rówieśniczek takie pokrewne serduszek, jakie matka jej w Anieli znalazła. Bogu spodobało się zabrać ukochaną Zosię a następnie i brata jej... z wielką, nigdy nieukojoną boleścią osieroconej matki. Owe kilka dziewczynek zgromadzonych na towarzyski Zosi, były pierwszym zawiązkiem pensyi, którą założyła Paulina Krakowowa, chcąc przyjść w pomoc mężowi, jak niegdyś ojcu pracą w pomoc przychodziła. Pensya ta, w swoim czasie zakład naukowy ogromny i sławiony, do którego z dalekich stron kraju przywożono panienki, wykształciła kilka pokoleń zacnych niewiast. W życiu jej przewodniczki było wiele odmian, wiele złego i dobrego, ale w każdej nowej doli czy niedoli, przewodniczka ta odnajdowała zawsze tuż obok siebie wierne serce przyjaciółki Anieli, nieomylną przystań zbawczą przyjaźni, do której uciekała się po serdeczny spoczynek: ten jest zysk z wiernej przyjaźni, która już w głębokiej starożytności była razem cnotą i zaszczytem. Nie lekceważmy świętego miana przyjaźni, która jest ducha braterstwem, nie szafujmy niemi bez zastanowienia, ale zapatrując się na przykłady takiego związku dwóch dusz, starajmy się zacnością ducha własnego na związek taki zasłużyć.

Oprócz *Pamiętników młodej sieroty* i *Wspomnień wygnanki*, Paulina Krakowowa napisała dla młodego wieku: *Rozmowy matki z dziećmi*, *Nauczycielkę*, *Wieczory domowe*, *Obrazy i Obrazki*, *Prozę i poezję polską*, *Książkę do nabożeństwa* i *Powieści historyczne* drukowane w *Wieczorach Rodzinnych*. Wydawała też przez pięć lat *Noworocznik* a później kierowała piśmie dla młodego wieku *Zorza*, w którym wiele własnych prac pomieściła. Miło będzie zapewne czytelnikom naszym przeczytać jeden z mniej znanych wierszyków zacnej przewodniczki młodzieży pod tytułem *Pierwiosnek*, a więc go podajemy tutaj.

Marya Joanna.

## Pierwiosnek.

Kiedy nowego światła promienie  
 Zbudziły ziemię uspioną,  
 A lubej wiosny czarowne technienie  
 Rozgrzało skrzepłe jój łono,  
 Wtedy sam jeden, słaby, lękliwy,  
 W lekkim i skromnym odzieniu,  
 Zeszedł kwiateczek wśród nagiej niwy,  
 Jak blada gwiazdka wśród cieniu.  
 Ciekawi tłumem cisną się w koło,  
 Zwabieni nowym widokiem,  
 A kwiatek schyla nieśmiało czoło,  
 Chcąc przed badawczym ujęć wzrokiem;  
 Lecz próżno, próżno! tysiączne zdania  
 Wnet obok niego się wznoszą;  
 Jeden go chwali — drugi przygania,  
 Trzeci nań patrzy z rozkoszą;  
 Ten wątlą główkę starannie wspiera,  
 Ten barwę zbyt lichą mieni,  
 Ten drobne listki z pyłu ociera.  
 Ów kopie aż do korzeni,  
 Radby je zbadać, zliczyć, wymierzyć,  
 Ostrém narzędziem wygładzić,  
 I by się zbytnio nie mogły szerzyć,  
 W kruszcowe formy osadzić.  
 A kwiatek?... poznał, jak to wśród świata,  
 Ile przykrości jest w życiu,  
 I pewno teraz przez długie lata  
 Zechce pozostać w ukryciu...  
 Nie! ledwie drugie stopniały szrony,  
 Już świeżą skroń swą wychyla,  
 I chociaż jeszcze trwożny, spłoniony,  
 Nowym się wdziękiem umila?  
 Czemuż? bo były i w zeszłym roku  
 Serca... co kwiat ten pojęły,  
 Z uśmiechem w twarzy, z tkliwością w oku,  
 Pierwszy dar wiosny przyjęły...  
 Co go źródlaną skrapiając wodą,  
 Piosenki nucili wieszczę;  
 Ci niech się jego cieszą urodą,  
 Dla nich on zeszedł raz jeszcze.

## TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M..a.

(Dalszy ciąg).

-- Czytaj! — i wskazywała mu ów zapisany papier wyżółkły. Był to testament hetmana Żół-

kiewskiego, Marek jął w nim czytać głośno wskazywany przez matkę ustęp następujący:

„Janie, synu mój najmilszy, do ciebie teraz moja wa moja. Z tego świata mi nie żal z inszej miary, ciebiebym był rad wprawował do bogobojności i wszelkich uczciwych spraw... Młode lata twe naukami poleruj; nie daj się nikomu w młodoci twojej od tego odwodzić. Mnie wierz! z nauki wielką podporę i wielki ratunek do służby Rzeczypospolitej, do wszelkiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów, jako wiele ich, nie mam chęci do nauki. W twojej mocy ta chęć, każdy kto chce może ją mieć. Historyki koniecznie czytaj. Miałem i sam nie małą wiadomość historyi, i w biegu spraw siłam się tém ratował, zem przesłych wieków sprawy wiedział. Gdy do męskiego wieku będziesz przychodził, rycerskie ćwiczenie jest szlachcicowi najprzystojniejsze, tém się waruj; próżnowania jak grzechu się strzeż. Mi strzem zaraz nie chciej być, byś nie pobłądził; przy hetmanie się pierwój baw. Rzeczom się przypatrzwszy, dopiéro też rotę możesz wieść. A jeśliby się potrzeba jaka Rzeczypospolitej podała, nie zostawałem sam nazad. Nie dla chluby to wspominam, ale zebym z mego przykładu w tobie tém większą chęć pobudził do naśladowania cnoty ojcowskiej. Z przedniemi się naprzód bierz; miej się do pokazania cnoty szlacheckiej, do uczciwej sławy. W kupie nie będzie cię znać, liczbą będziesz: Pomnij na to, że włos z głowy człowiekowi nie spadnie bez woli Bożej. A kiedy to dobrą intencją dla służby, dla dobra Rzeczypospolitej czynić będziesz, pójdzie za tém uczciwa sława. Abyś też i umarł przytém, nie osobliwszego potkać cię nie może. I poganie tak rozumieli, że śmierć dla ojczyzny słodka. Nuż jeszcze dla wiary świętej, jeślić się trafi okazała czynienia przeciwko Turkom, Tatarom. Takim umysłem położyć żywot, i u ludzi sławno, i u Pana Boga (co jest największa) odpłatno. Jakom ja za najprzedniejszą część dziedzictwa wziął ten umysł z ojca swego, i ty chciej być dziedzicem, jako w czém innym, tak osobliwie umysłu mego. Niech przez cię nie będzie polżona, ale owszem pomnożona nczciwa sława moja..“

Gdy Marek, słowo po słowie, z głębokim wzruszeniem przeczytał to pismo, ręką pradziada dla dziada jego pisane, Sobieska położyła w milczeniu obie ręce na głowach synów i przez chwilę pozostała tak nieruchoma, jakby chciała dać im czas do zastanowienia się nad tém, co przeczytali. Potém wzięła chłopców za ręce i udała się z nimi do Żółkiewskiego kościoła. Tam, przez ciąg nabożeństwa na intencją podróżnych odprowadzającego, klęczała z synami w grobowej Żółkiewskich kapli-

cy, pośród trzech pomników, zawierających prochy jej dziada, wuja i brata. Marek mimo gorących modłów spoglądał co chwila na stary portret praprababki, z podpisem grożącym upadkiem domowi niezgodnemu; wspomnienie nocy przebytej tu z Justusem, zatarte trochę gwałtownymi przygotowaniem do szkolnej wyprawy, wystąpiło znów w jego duszy wyraźnie, aż do przerażenia. Świeże ojcowskie nakazy płątały mu się w sercu ze starą groźbą, bo chłopiec nad wiek rozwinięty i wcześniej dojrzały prawie potęgą boleści po zgonie wuja, chłopiec, którego matka czytać uczyła na grobowych napisach naddziadów, brał owę groźbę w najogólniejszym i znowu w najściślejszym znaczeniu. Więc jak przyrzekał sobie, że wedle ojca napomnień będzie miłował brata Jana serdecznie przez całe życie, tak znowu, patrząc na pomnik hetmański, zaklinał niebo, oczy w górę wznosząc, aby gorzej po sto razy z ziemskiego padołu zabrało, niżby miał kiedy tak okrutnie powstać przeciw domowi własnemu, to jest przeciw obowiązkowi szlachcica, syna swój ziemi i rycerza, jak ci, którzy pradziada jego hetmana opuścili pod Cecorą, rozdzielwszy się, i powstawszy przeciw niemu, powinności i samym sobie. I znowu, patrząc na pomnik wuja Stanisława, odprzysięgał się Marek wszelkich krewkich przeciw braciom uniesień, aby nie żałować ich później tak gorzko, jak zajścia swego z Kalinowskim wuj w *silva rerum* owem żałował. A gdy Marek tak myślał, tedy oczy jego same z siebie obracały się ku portretowi z groźnym napisem, bo zdawało mu się, iż wuj nie dla czego zajścia z Kalinowskim tak ciężko żałował, tylko ponieważ było ono także rozdzieleniem się domu przeciw sobie! Tymczasem nabożeństwo skończyło się, i dwaj mali podróżni wraz ze swą czeladzią, otrzymawszy uroczyste błogosławieństwo kapłana i rodzicielskie, wsiedli do wozów i puścili się w drogę do Krakowa. Pomimo, że młodszy Jan zwłaszcza był jeszcze dzieckiem prawdziwem, o wcale nie zbyt rozwiniętym umyśle, przecież odbyło się pierwsze w życiu rozstanie z ojcem, matką i domem rodzinnym bez najmniejszego roztkliwienia, ani tém mniej jakichś kwileń dziecinnych. Nie było to zaś skutkiem braku uczucia, jakby to dziś może nazwano, lecz skutkiem owoczesnego wychowania, które jak ubierało małe dzieci w suknie jednakowe z sukniami mężów dojrzałych, tak też serca i umysły ich odziewało w hart dojrzałej męskiej powagi. Cokolwiekby mówią dziś niektórzy przeciw dawnym czasom, i jakkolwiek mogą też niekiedy mieć słuszość ci ich oskarżyciele, to przecież nikt czasom owym nie zaprzeczy prawdziwej powagi, którą one były przesiąkłe, i która była ich cechą nawet w samychże niezaprzeczonych ich błę-

dach i zdrożnościach karygodnych. Tak samo, jak dzisiejsze znów czasy przesiąkłe są na wskroś lekkomyślnością bez granic, która cechą dzisiejszych czasów jest, nawet w najważniejszych ich dziełach i pomysłach, i tychże wykonaniu.

Po dość mozolnej choć niezbyt dalekiej podróży, stanął wóz, wiozący paniczów Sobieskich z Żółkwi i ich ochmistrza pana Orchowskiego, przed najętą dla nich rocznie gospodą w Krakowie. Gospodą zwano wówczas każdy dom nie swój własny a wynajęty, choćby i na dziesięć lat. Za głównym panięcym wozem, trzy inne z profesorem i resztą czeladzi, z najkonieczniejszym domowym i kuchennym przyborem, wtoczyły się skrzypiąc, wskrzypiącą, na ścieżaj roztwartą bramę obejścia, w pobliżu św. Anny. Za dwieście złotych rocznego czynszu dom najęty był nieduży ale wygodny, o dwóch złożeniach a czterech izbach, jak go pan wojewoda opisał.

Pod przewodnictwem pana Orchowskiego, stojącego z roztwartą instrukcją wojewodzińską w ręce i zagląającego w nią za każdą wątpliwością, urządzono się też natychmiast w gospodzie tej, wedle dokładnych wojewody wskazówek. Główną izbę panięcą i komorę sypialną wybito chyżo pięknymi makatami, tapczany paniać nakryto bogatemi futranami kołdrami, choć pod nimi były tylko snopy świeżej słomy, twarde, ale pięknymi cienkimi prześcieradły nakryte starannie. Srebrna duża misa z taką nalewką na stole, i dzban cynowy wielki pełen świeżej zimnej wody pod stołem, stanęły zaraz w komorze, jako przybory konieczne do ochędóstwa panięcego; nad misą na ścianie zawieszono duży, gruby, szeroki kawał płótna z piękną frendzlą, do ocierania się po umyciu. W głowach dwóch swych tapczanów chłopcy z podziwem ujrzeni przytwierdzony do ściany wielki czarny krzyż, który odrazu poznali, jako ów z nad kłęcznika z hetmańskiej pradziadowskiej komnaty, z kądem przyrośłego tam prawie, po raz pierwszy, odkąd zamek stał, zdjęła Teofila Sobieska, aby nim szkolną wyprawę ukochanych dzieci uzbroić. Tapczan pana Orchowskiego stał z boku.

W głównej panięcej izbie stanął na środku długi stół, także bogatą makatą nakryty, na którą jeszcze wyrostkowie kładli grube zielone sukno do uczenia się, a zaś białe, zawsze czyste i bardzo cienki obrus, do jadła, a to, dla ocalenia pięknej makaty od inkaustu i od plam z nieostróżnego jedzenia potraw. Stosownie też do chwilowej potrzeby, stawiali wyrostkowie na stole tym srebrną w wyższym końcu, a cynową w niższym zastawę stołową, albo sam pan Orchowski własnoręcznie stawiał na nim oburącz z szafy, niosąc sporą a miasterną hebanową czarną podstawę, na której

z jednej sztuki z nią wyrobione znajdowały się: duże naczynie na inkaust, po dzisiejszemu kałamarz, drugie takie na piasek, który zeń palcami się brało, aby pismo nim posypać, trzecie odmiennie cokolwiek kształtem na pióra, aby w niem spokojnie zostawały, a czwarte wyżłobione już tylko obszernie w podstawie na kredę. Pisarski ten sprzęt był dziełem ś. p. ojca Piotra Pawęzkiego Skargi, który chwile odpoczynku po ważnych umysłowych pracach zużytkował na takie i tój podobne ręczne zabawy. Można też wyobrazić sobie jak niezmiernie ważną i poważną musiała być w oczach i dla serca Jakóba Sobieskiego wyprawa szkolna jego synów, skoro ozdobił ją tym cennym zabytkiem, który dotąd stół jego własny pisarski ozdabiał, podwójnie będąc drogim właścicielowi, jako pamiątka po własnym ojcu wojewodzie Lubelskim, i po królewskim uczonym kaznodziei, autorze sprzętu, który go w dowód przyjaźni wojewodzie Lubelskiemu niegdyś podarował. Oddając własnoręcznie w osobiwszą opiekę sprzęt ten panu Orchowskiemu w obec synów, wojewoda rzekł:

— Pamiątkę tę drogocenną, chocia drewnianą, mam ja w większem poszanowaniu, i prawdziwie jako *praelium affectionis*; większy ona walor ma u mnie niż najcześnie srebro i złoto, a no przecież oddaję ja ją w opiekę waszmości ku pożytkowi synów moich, dla tego mianowicie, aby oni, za każdym maczaniem pióra w tym tu inkauscie, przypominali sobie autora sprzętu tego, i poczuli się w obowiązku, który im najmocniej zalecam, naśladowania go w wiernej służbie Krzyża i Rzeczypospolitej. Skutkiem takich to uwag i zaleceń pan Orchowski codziennie własnoręcznie i uroczyście niejako niósł sprzęt ów na stół, gdy już wyrostkowie stół ten do nauki przyrzadzili, nakrywszy go grubym sukniem zielonem. I skutkiem takich to zapewne uwag i zaleceń rzekł pan Orchowski pewnego popołudnia, w czasie odrabiania pensów i repetycyi pod kierunkiem pana Rożenkiewicza:

— *Sine dubio* nie do takiego to użytku przeznaczał pamiątkę tę ś. p. Ojciec Skarga, ofiarując ją ś. p. wojewodzie Lubelskiemu.—Powiedzenie zaś to, odnosiło się do zajęcia swawolnego a dziecinnego Jana, który podczas pana Rożenkiewicza wykładu, maczał nie pióro, a palec wskazujący w inkauscie, i palcem tym bazgrał sobie skrycie pod stołem na zapisanym papierze dość podobny konterfekt pana Rożenkiewicza. Dowcip ten szkolny bawił nieskończenie małego Francuzika, który tuż obok pana swego i rówieśnika, Sobieskiego Jana, siadywał na ławie. Na owo wszakże powiedzenie pana Orchowskiego zawstydził się Jan tak okrutnie, że aż mały Francuzik nie wiedział gdzie oczy podziąć z koleżeńskiego wstydu. Od owego dnia nie ma-

łował już więcej Jan konterfektów pana Rożenkiewicza pod stołem, choć swoim porządkiem w wiecznej z nim pozostawał kolizyi, co jeszcze z dawnych dziecinnych czasów w Złoczowskim i Żółkiewskim zamku, pozostało do czasów akademii krakowskiej. Za to niezadługo zdarzył się w izbie głównej panięcej inny okrutnie nieprzystojny *casus*. Było zaś tak, że pan Rożenkiewicz, wprawiając panięta w deklamacyjną oratorską akcyę, dał im do ręki wielką linię, ku wybijaniu nią o stół tempa hexametrowych deklamacyjnych, dla tём dotykalsiejszego ich utrwalenia w pamięci. Marek Sobieski wywiązał się z zadania mniej więcej szczęśliwie, a w każdym razie uważnie, deklamując i uderzając przytём linię o róg stołu na każdą zgłoskę łacińskich wierszy, wymagającą przy wymawianiu pewnego nacisku, czyli tak zwaną długą. Mimo zdarzonych pomyłek, pan Rożenkiewicz był przecież mocno z deklamacyi Marka zadowolony; a zajął się nią całą duszą, gibając się przy niej całą osobą swą tam i napowrót na stolku, z rękami wyciągniętymi przed siebie nad stołem, jakby chcąc tём gibaniem się przyciągnąć ku stołowi linię wahającą się w ręku Marka za każdą zgłoską długą, wymagającą uderzenia linię o stół. Tak to było przy deklamacyi myślącego Marka, odbywanęj jak zawsze przy asystencyi wszystkich wyrostków, obowiązanych do wspólnej z Sobieskimi nad nauką pracy, ku jęj ułatwieniu i rozweseleniu. I dobrze było. Ale gdy przyszła kolej deklamacyi na pucołowatego Jana, zdarzył się *casus* okrutny; a to taki, że linia wielka, rozmachana w Janowych rękach, zamiast w róg stołu, krzywo jakoś i nietaktownie nie symetrycznie zgoła spadła na wyciągnięte ponad stół ręce pana Rożenkiewicza... Uderzenie musiało być nie lada jakie, bo pan Rożenkiewicz wrzasnął jak żak z bólu, obie ręce mimowoli do ust niosąc, jak to w podobnych razach żacy czynią. Marek i pan Orchowski, lekcyom asystujący, zerwali się z miejsc swoich, wyrostkowie osłupieli ze strachu i dziwu, a jeden z nich, ów mały Francuzik, tak się przelał i zdziwił, że rękoma w górę rzuciwszy, aż się stoczył z ławy pod stół, i tarzał się tam a przewracał pod długą spadającą makatą, w straszliwym paroksyzmie śmiechu, nieledwie jakby szalony, rękoma tylko a połą od sukni zatykając usta gwałtownie, aby głośnego śmiechu słyszeć nie było. Oczywiście, musiał go ten śmiech napaść jakoś niespodzianie. Panu Rożenkiewiczowi rękę zimną wodą obłożono i o wypadku tym dziwnym nie mówiono więcej, ale Jan Sobieski i mały Francuzik okrutnie jakoś się zakłopotali, ujrzawszy, że pan Orchowski, który już powielekroć strofował i upominał Jana o różne pana Rożenkiewicza dotyczące okoliczności, teraz nie

rzekłszy ani słowa, zasiadł do pisania listu do samego pana wojewody. Smutno jakoś zrobiło się w gospodzie od dnia, w którym dziwny ów *casus* miał miejsce, a potem jeszcze smutniej, gdy w kilka dni przybył list osobny od wojewody do Jana samego. Jan wziął list drżącą ręką z rąk milczącego pana Orchowskiego i czytał, skrywszy się w kącie pod okno. Co tam napisał do syna pan wojewoda, tego nikt nigdy się nie dowiedział, ale wszyscy zauważyli, że odtąd nigdy więcej ani *casus* dziwny żaden w rodzaju tamtego nie powtórzył się w gospodzie, ani też żadna inna okoliczność ani kolizja pomiędzy Janem i panem Rożenkiewiczem nie zaszła, o jakąby pan Orchowski Jana strofować musiał.

Tymczasem swoim porządkiem odbywało się wedle wojewodzińskiej instrukcji wszystko, co do tyczyło, tak instalacji wojewodzie w szkole, jakoteż i dalszego ich prowadzenia w Krakowie. Zaraz nazajutrz po przybyciu i natychmiastowemu urzędowaniu się, poszli wojewodzie w asystencji swego całego dworu, oczywiście prócz kucharza i sługi pana Orchowskiego, przedstawić się rektorowi akademii i ośmiu profesorom. Następnie zaraz na trzeci dzień znowu odbyło się w wojewodzie w gospodzie nakazane instrukcją *convivium*, to jest uczta wystawna dla tegoż rektora i profesorów. Występ ten pierwszy na akademickim świecie ważny i niezmiernie, jak to opiewała instrukcja, gdy stał się o opinii krakowskiej co do wojewodzie dotychczasowego wychowania i o pozycji, jaką oni mieli odtąd zająć przez osobistą swą wartość w krakowskim świecie. Było to coś więcej nawet, niż egzamin, gdyż przy zdawaniu egzaminu sądziłoby się młodych chłopców tylko jako uczniów, kiedy przy owym w gospodzie wojewodzie przyjęciu sądzono ich już, jakby ludzi skończonych i obywateli Rzeczypospolitej. To też kucharz, pracujący w noc i w dzień w kuchni na owo *convivium*, nie bardziej nań pracował pewno, niż wojewodzie, przygotowując się doń pod kierunkiem parów Orchowskiego i Rożenkiewicza, już to bacznym odczytywaniem instrukcji ojcowskiej, zwłaszcza jej rozdziałów, dotyczących szczegółów pozycji towarzyskiego, już to powtarzaniem różnych punktów i gestów akcji deklamacyjnych, które zastosować się dawały do przyjmowania gości i w ogóle do okazania dobrego wychowania, to jest, dokładnej i jasnej świadomości tego, co należy się od dobrze wychowanego człowieka ludziom innym i samemu sobie. Wystąpienie wojewodzie było tem trudniejsze właśnie od wystąpienia w świat niejednego dorosłego człowieka, że byli oni bardzo młodzi, i mieli przyjmować profesorów swoich, co przysparzało przenajrozmaitszych wzglę-

dów i atencji, którychby od starszych ludzi nie wymagano. Bo naprzykład należało w każdym ruchu i słowie odznaczyć najgłębszą atencją, jaką akademik jedenastoletni powinien był mieć dla szanownego rektora i każdego z profesorów wedle ich stopni — ale zarazem należało też w każdym słowie i ruchu pamiętać, że się jest synem wojewody ruskiego, to jest pełnego zasług urzędnika Rzeczypospolitej, przed którym już tylko jedna najwyższa świecka godność, a to kasztelania krakowska pozostawała. I jeszcze pewna ważna okoliczność utrudniała występ młodocianych wojewodzie na krakowskim akademickim świecie, a to ta, że ojciec ich słynął właśnie z niewypowiedzianej między współbraćmi wziętości, że swady, to jest ozdobnej oratorskiej sztuki, i w ogóle z doskonałej umiejętności życia towarzyskiego, co przy niezmiernie gościnnym charakterze współobywateli było cnotą i sztuką wysoce cenioną, i ważną w istocie. Trzeba było tedy i o własnej i ojcowskiej dobrej sławie pamiętać.

Rozumie się, że wszystkie te trudności, względy i ciężary spadały głównie na starszego wojewodzie Marka, co też pocieszało i uspokajało cokolwiek domowych profesorów, i oddalonych a tęsknie oczekujących wiadomości rodziców. A otóż wszystkich ich spotkała niespodzianka; bo nietylko Marek odpowiedział w pełni troskliwie łożonym nań staraniom, ale, o чудо! puciołowaty Jan dzielnie i właściwie bardzo na miejscu swym młodszego wojewodzie dopomagał bratu. Trzeba tedy było widzieć i słyszeć obu wojewodzie owego dnia, w którym odbywało się owo słynne w swoim czasie w Krakowie *convivium*, aby zrozumieć, czem było wychowanie dawnych czasów i czem może być dziecko dobrze prowadzone. Bo jeżeli na naukowy dzisiejszy egzamin czy popis można przygotować prawie każdego obdarzonego dobrą pamięcią dzieciaka, to do owego wojewodzie popisu wcale sama pamięć nie wystarczała, a przeciwnie co chwila trzeba było własnym rozumem i własnym sądem a przekonaniem się rządzić. Więc trzeba było najprzód widzieć wojewodzie, zwłaszcza starszego, gdy stanęli odpowiednio uroczystości z rana już ubrani przed panem Orchowskim w głównej swjej izbie, a on ich w koło jął obchodzić, baczenie oglądając, czyli w ochędóstwie braku jakowego lub niewłaściwości nie dopatry: trzej wyrostkowie stali tuż, szeregiem, gotowi na skinienie braki dopełniać i niedokładności poprawiać. Pan Rożenkiewicz stał też z boku, na akcją w każdym ruchu uważając.

W czerwonych bucikach oblamowanych złotymi taśmami, w żupanach z ciemnego atlasu, spiętych po szyję na małeńkie koralowe guziki, krót-

tkich po za kolana ledwo, jak na młodych chłopców przystało; w kontuszach ciemno szafirowych aksamitnych, o białém jedwabném podszyciu; z białemi czapeczkami, przystrojonemi małym ale kosztownym czaplem piórkim w rękach, dla dopełnienia ubrania, a bogato oprawnemi szabelkami u boku, stali wojewodzice z lewą ręką na rękojęści szabel, z czapeczkami w prawej, z prawą nogą z lekka, jak do tańca, wysuniętą naprzód, prosto i z podniesionem czołem, w postawie pełnej powagi, a razem i swobody. W kącie niespokojny stał balwierz, rocznie zgodzony, a okrutnie dziś zakłopotany, czy utrafił z ułożeniem czupryn wojewodzców?... bo rozkazano mu je przystojnie, starannie i pięknie na dziś, i na każdy bankiet układać, jak to w jego przytomności głośno w wojewodzińskiej instrukcyi pan Orchowski wyczytał, ale z drugiej strony, też sama instrukcyja zakazała mu pod łaską pańską wydziwiać z temiż czuprynami, formując je na jakieś stroje pogańskie. Tedy stał balwierz jak na szpilkach przy pana Orchowskiego ostatecznym przeglądzie, który na szczęście dobrze wypadł, i wkrótce też goście zaczęli się schodzić. I dopieroż trzeba było widzieć i słyszeć wojewodzców ruskich prezencyą, gest, akcyą, postawę, wymowę, dowcip komplementów, przystojną gotowość w odpowiedziach i rozumną skromność w zapytaniach najkonieczniejszych, jaką rozwinęli, jako gospodarze domu, w przyjęciu i ugoszczeniu dostojnych swych gości. Dość powiedzieć, że w relacyi, jaką zaraz nazajutrz przesłał o odbytém *convivium* pan Orchowski panu wojewodzie, stało napisano, że tak pan Orchowski, jak pan Rożenkiewicz i Zdarski, z najkompletniejszą chlubą i pociechą serca, a reszta czeladzi z pełną radości dumą obserwowali całe paniąt w czasie *convivium* zachowanie. Pierwszy występ, a za nim i cała szkolna karyera, udały się zupełnie, jak tego zresztą wojewoda był pewien; a ściśle zachowanie raz ustanowionego instrukcyą ceremoniału, wywarło w Krakowie nie lada wrażenie, czego życzyli sobie rodzice Sobiescy. Nauki pilnowano nie żartem, ale mimo to wcale nie mniej poważnie zajmowano się i nadal towarzyskiem pożyciem.

(D. c. n.).

## MALI ROBOTNICZY.

Pogadanka naukowa.

Słyszac o wielkich robotach, wykonanych przez ludzi w dawniejszych i nowszych czasach, o piramidach egipskich, o kanale Suezkim, przekopaniu tunelów w Alpach, każdy, kto tylko zastanawiać

się umie, musi sobie pomyśleć: Jak też to wiele może wspólna, wytrwała praca, bo iluż to robotników składało się na te olbrzymie dzieła przemysłu ludzkiego. O ileż większe musi być zdumienie nasze, gdy pomyślimy o pracach drobnych, słabych stworzeń, pracach, które przewyższają nieskończenie to wszystko, czego kiedykolwiek dokonać zdołał przemysł człowieka. Słyszeliście bezwątpienia, młodzi czytelnicy, o rafach i wyspach koralowych, wiecie też dobrze, iż te niezmiernie nagromadzenia kamiennych gałęzi, z których się tworzy podstawa rozległych łądów, są robotą małych żyjątek morskich. Może i o tём zdarzyło się wam czytać lub słyszeć, że nie tylko rafy koralowe, ale znaczna część naszej ziemi powstała tym samym sposobem, i składa się ze szczątków różnych drobnutkich istot. Inną razą opowiemy wam jeszcze niejedną szczegół ciekawą o tych malutkich robotnikach, dziś pomówimy o pracy olbrzymiej, a dla człowieka niezmiernie pożytecznej, małych stworzeń niepozornych, pospolitych, które każdy mieszkający na wsi ciągle ma przed oczyma, ale zazwyczaj wcale na nie uwagi nie zwraca, a nawet ze wstrętem odpycha i nogą depce.

Gdy wspomnicie wieśniakowi o robakach ziemnych, on wam powie zapewne, że to stworzenie obrzydliwe szkodę tylko wyrządza rolnikom, podgryzając lub przynajmniej poruszając korzenie roślin. Niejedną też i z oświeconych ludzi wyobraża sobie, że ten brzydki robak jest zupełnie niepotrzebny na świecie, lub co najmniej przydać się może do wędk przy łowieniu ryb. Tymczasem ludzie uczeni, przypatrując się bliżej i uważniej życiu tych drobnych istot, wykryli rzeczy bardzo dziwne i ciekawe, o których teraz świat cały mówi z nadzwyczajnym zajęciem; i wy też, młodzi czytelnicy, powinniście się o tём dowiedziec.

Każda wiadomość naukowa podwójnie jest pożyteczna dla człowieka; najpierw zaspokajają wrodzoną, nieprzepartą potrzebę ducha, który chce wiedziec i rozumieć dokładnie wszystko, co się dzieje naokoło niego. Zwierze zadawalnia się zupełnie, gdy ma wygody i dostatek żywności, ale o człowieku nie darmo Pismo Ś-te powiada, że nie tylko chlebem żyje. Człowiek nieraz odmawia sobie i wygod, i pokarmu, byle tę swoją żądze wiedzy zaspokoic. Dla tego to nieustannie podróżnicy narażają się na mrozy podbiegunowych okolic i upały puszc zwrotnikowych, dla tego tylu uczonych spędza nocy bezsennie w pracowniach, cierpiąc niedostatek. Ale po zaspokojeniu tég pięknej i szlachetnej żądzy wiedzy, człowiek, przypatrując się bliżej zjawiskom przyrody, odnosi jeszcze inną wielką korzyść, uczy się myśleć nad tём, co widzi, zastanawiać się i wprowadzać tząd

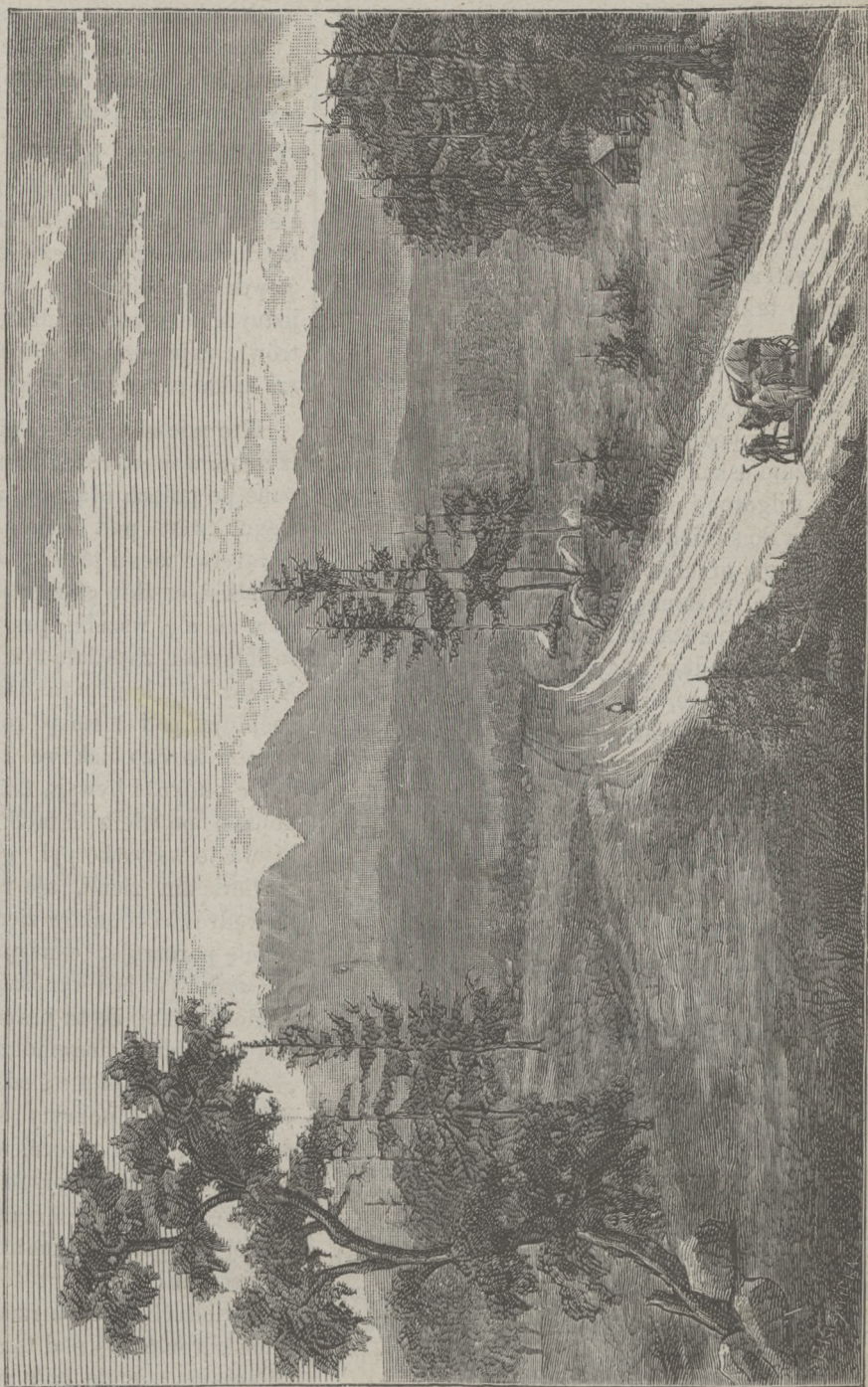


wnioski o sobie samym, o przeznaczeniu swoim na tej ziemi, a cóż wart człowiek, który o tém nie pamięta? Patrząc naprzykład na pracę drobnych stworzeń, z której olbrzymie dzieła powstają, każdy musi zrozumieć, że na tej ziemi, z woli Stwórcy, wszystko ma cel mądrze wytknięty, wszystko zmierza do ogólnego dobra i pożytku. Trzeba też być bardzo nieroztropnym i lekkomyślnym, aby sobie nie powiedzieć: jakiż to wstyd, jaki grzech, gdy człowiek, daleko hojniej od zwierząt obdarzony, marnuje bezpożyteczne życie i przeznaczenia swego nie spełnia.

A więc chyba zwierzęta lepsze są od ludzi, skoro zawsze spełniają wiernie to wszystko, co do nich należy? O nie, inaczej to trzeba rozumieć. Zwierzętom Bóg dał instynkt nieomylny, onenie znają pokusy do złego, nie wahają się nigdy, nie namyślają przed wykonaniem obowiązku; człowiek zaś otrzymał rozum i wolę, wie on, że powinien robić dobrze, ale może także i źle robić, ma wolny wybór. Wygodniej jest zapewne zwierzętom, nie potrzebują walczyć same z sobą, przezwyciężać swych namiętności, nie odpowiadają też wcale za swoje czyny, najdrapieżniejsze zwierzęta, które człowiek słusznie tępi w obronie swojej, nie zasługują jednak na karę, bo one tylko potrzeby przyrodzone zaspokajają z naszą szkodą. Inne znów, gdy czynią dobrze, nie mają w tém żadnej zasługi.

Trudniejsze jest zadanie człowieka, ale też i zaszczytniejsze daleko; on obowiązki swoje, pełni

z własnej woli, zdaje sobie sprawę z tego, co czyni i wie dobrze, że jeśli jego wola własna, woli Bożej się sprzeciwi, musi odpowiadać za to i zasługuje na karę. Jeżeli ten wstęp was troszkę znudził, przypomnijcie sobie, że nawet i przy czy-



DROGA DO ZAKOPANEGO (str. 187).

taniu, przeznaczoném na chwilę odpoczynku, nie należy wyłącznie rozrywki szukać, ale czasem i poważniejszą myśl wziąć do serca, bo i to należy do obowiązków człowieka.

A teraz posłuchajcie, co nam uczeni przyro-

dnicy opowiadają o glistach ziemnych, czyli dżdżownikach, tak przewanych dla tego, że zwykle po deszczu wylazą na świat Boży ze swych podziemnych kryjówek. Radzę wam przypatrzeć się uważniej temu pogardzonemu robakowi, gdy go napotkacie na wiosnę w ogrodzie. Trzeba przyznać, że wygląda wcale nie ponętnie, i na pozór niedołączne to jest bardzo stworzenie; nie ma nóg, nie ma oczu, ani uszu, ciało jego składa się z mnóstwa obrączek, kurczących się i rozciągających z wielką łatwością, to też nasz robak i bez nóg uwija się szybko i zgrabnie. Od innych zwierzątek z rzędu bezkręgowych robaki odznaczają się krwią czerwoną, która nadaje odrębną barwę, przezroczystemu ich ciałku. Jeśli poruszają się bez nóg, to także i widzą bez oczu, zapewne posiadają ten zmysł w przedniej części ciała, gdyż uciekają szybko za zbliżeniem płomienia. W jedzeniu są bardzo niewybredne, gdyż jedzą wszystko, co napotkają, nie podgryzają jednak korzonków, o co je niesłusznie oskarżają, przedewszystkiem zaś lubią liście wilgotne i przegniłe, niezmiernie zręcznie je wciągają do swoich podziemnych kryjówek.

Norę swoją grzebie sobie dżdżownik po prostu wciskając się w ziemię i pochłaniając tę ziemię przed sobą za pomocą maleńkiego pyszczka. Przetrawiwszy w żołądku znajdujące się tam szczątki roślinne i zwierzęce, resztę odrzuca drugim końcem swojego walcowatego ciała. Łatwo zrozumieć, że takie ustawiczne przepychanie ziemi przez cienkie rurki rozmiękcza ją, rozdrabia i uzupełnia, jakby przez sito przesiewa. Robak ziemny nie może się utrzymać w gruntach piaszczystych i kamienistych, zbytniej suszy znieść nie może i dla tego zatyka nory swoje bardzo dowcipnie liśćmi lub jakimikolwiek strzępkami. Na zimę zagrzebuje się głęboko, na kilka metrów pod ziemię, wygniata tam sobie jankę wygodną, wybrukowuje ją gruzem, lub drobnymi ziarnkami i odpoczywa do wiosny.

Pewien uczony napełnił doniczkę mokrym piaskiem, zwierzchu nałożył liści i wpuścił tam dwa robaki dżdżowniki. Te natychmiast rozpoczęły swoją robotę; wciągały liście pod ziemię, przełykały je razem z piaskiem i wyrzucały na wierzch urobioną w żołądku mieszaninę. Po upływie sześciu tygodni, piasek w doniczkę pokryty był warstwą na cały centymetr grubą, wyborną próchnicy, tak nazywają ziemię rodzajną, która się tworzy z przegnicia szczątków roślinnych. W przyrodzie wprawdzie robaki tej sztuki dokazać nie umieją, nie przerabiają zasp piaszczystych na urodzajne grunty, gdyż nie mogą żyć bez wilgoci, ale i tak dosyć one dobrego robią na wszystkich przestrzeniach, które są dla nich dostępne; nie dość na tém,

że ziemię przesiewają, spulchniają i przerabiają z różnemi szczątkami organicznymi, lecz wędrując ustawicznie z góry na dół, ściągają w głąb zwierzcnie warstwy, a od spodu wydobywają inne i wyrzucają na wierzch, gdzie przez wietrzenie, to jest swobodne zetknięcie z powietrzem, nabierają nowych własności, nasycają się szczątkami gazów i wilgocią. Tym sposobem drobne te stworzenia uprawiają ziemię daleko lepiej od najdoskonalszych rolniczych narzędzi.

Widzieliśmy jak para dżdżowników dała sobie wybornie rady w niewielkiej doniczkę; tak samo i na większych przestrzeniach gospodarują te przemysłne stworzenia bez ustanku. Nie zapomnijmy, że według obliczenia, na polach uprawnych, na jednym hektarze kwadratowym (hektar ma sto metrów), żyje przeszło 50,000 robaków, a na hektarze ziemi ogrodowej prawie trzy razy więcej.

Kto mieszka na wsi, nieraz przekonać się może, iż gruz, wapno, różne kamyki i rumowiska, rozsypane po polach i łąkach, znikają po pewnym przeciągu czasu pod ziemią sposobem niepojętym, a warstwa ziemi przykrywa je całkowicie. Nawet i wielkie, ciężkie głazy, zawsze się zagłębiają z wolna w ziemię, wszelkie przedmioty, jak czerepy, stare żelazta, zapadają tym sposobem w głąb gruntu. Nieraz też, kopiąc fundamenta na nowe budynki, znajdują pod ziemią różne zabytki starożytne, czasem bardzo ciekawe i szacowne. Nawet mury i całe budynki bywają tak zasypane, a później odkopane po wielu latach. W części zapewne pokrywa to wszystko pył, gromadzący się zawsze na powierzchni ziemi, ale najgłówniejszą przyczyną są wędrowki robaków ziemnych, które ustawicznie ziemię poruszają, osuwają warstwy wyższe, a niższe wydobywają i wynoszą na wierzch. Obliczono najdokładniej, ile ta praca robaków wynosi, urządzając różne doświadczenia. Więc rozsypano gruz na polu i pilnie śledzono, co się z nim stanie. Wkrótce gruz pokryty został cieniutką warstwą próchnicy, pochodzącej widocznie z ziemi przełykanej i wyrzucanej przez robaki, a pomiary wykazały, że warstwa ta w ciągu roku podnosi się mniej więcej na pięć milimetrów jednostajnie na całej powierzchni. Spostrzeżenie to sprawdzono także i na wielkich głazach rzuconych na łąkę. Robaki lubią chronić się pod takimi kamieniami, a pochłaniając ziemię pod nimi, i wynosząc na bok, tém samém osuwają głazy powoli i czasem zagrzebują zupełnie.

Widzicie, młodzi czytelnicy, ile to można skorzystać, ile nauki odnieść, przypatrując się uważnie obyczajom takiej nędznej i pogardzanej istoty, jak glista ziemna. Jeżeliście sobie zadali pracę

przeczytać cierpliwie całą tę pogadankę, starajcie się raz jeszcze powtórzyć w myśli te wszystkie uwagi, jakieśmy na początku wypowiedzieli i zachowajcie je w pamięci.

M. J. Z.

## DROGA DO ZAKOPANEGO.

Kto choć raz był w Zakopaném, pozna odrazu dany tutaj piękny krajobraz górski, Gewont wyszczerbiony, dolinkę zarosłą smerekami (świerkami) i drogę wiodącą do wioski, po której sunie wielka biała buda, tak dobrze znana podróżującym w Tatrach.

## WYPRAWA

### PO SKARBY UKRYTE WSRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

— W czepkuś się urodził, przyjacielu,— mówię do wiernego mego towarzysza,—zafundowałeś nam królewskie śniadanie i pieniądze zwracają ci nieknięte.

W mgnieniu oka rozpalamy ognisko, nie mamy siły powracać, nie pożywiwszy się cokolwiek. Parę wiewiórek, upieczonych na prędcie, głód nasz zaspakaja, zabieramy się śpiesznie do odwrotu, bo towarzysze nasi, niemniej od nas zgłodniiali, niecierpliwie nas pewnie wyglądają.

— Co ty robisz? — pyta porucznik Crowley naszego Toma, który nacina nożem ogromny pień drzewa.

— Rysuję kobong tych ludzi Nga - Ko - Tko — odpowiada Australczyk i w rzeczy samej nakreślił na białej korze figurę węża.

— Dobrze żeś nam to przypomniał — wołamy wszyscy i natychmiast zaczynamy rysować węże na drzewach okolicznych, gdyż niedbalstwo mogłoby nas o największe nieszczęścia przyprowadzić. Potém zabieramy z sobą zwierzynę i przyspieszonym krokiem zmierzamy do obozu. Przechodzimy znowu przez dolinkę, uślaną piaskiem złotodajnym, ale nie zatrzymujemy się dla zbierania szacownego metalu, radzibyśmy na skrzydłach dolecieć na miejsce.

— O ho ho! — odzywa się głos Toma, który postępuje na czele naszej gromadki; okrzyk ten wyraża najwyższe przerażenie.

— Co się stało?

— Źle, bardzo źle,—rzecze Kanadyjczyk, idący zaraz za Tomem, — dzicy!

— Gdzie! zkąd! nie widać ich przecież!

— O, panowie — mówi poważnie Franciszek — znam ja się na tém dobrze, i upewniam was, że teraz, to już nie przelewki. Dzicy są tu niedaleko, idą gromadnie i wypowiadają nam straszliwą wojnę. Muszą być liczni i silni, skoro otwarcie występują do boju.

— Ale zkądże wy to wszystko wiecie?

— Patrzcie, patrzcie! — rzecze porucznik Robarts — czy widzicie tę korę ponacinaną na drzewach?

— Prawda! nacięcie jest bardzo świeże, bo sok sączy się z pni.

— W każdym nacięciu sterczy piórko czerwone.—mówi Kanadyjczyk—tu u stóp drzew zatknięte są kamienne siekierki. Wszystko to oznacza stan wojenny; jest to ostrzeżenie, abyśmy nie śmieli przechodzić tędy, a piórka krwawe wzywają do broni wszystkich wojowników. To bydlę rzadko kiedy ośmiela się wypowiadać tak otwarcie wojnę Europejczykom. Muszą mieć siły niezwykłe.

— Śpieszmy, śpieszmy! obóz nasz już niedaleko.

Lecimy, jakby na skrzydłach. Biedni towarzysze nasi ani przeczują, jak okropną wiadomość im przynieść mamy. Ta nowa przeszkoda, gdyśmy już byli tak blizcy celu, może wszystko zniweczyć. Wtém Cyryl zatrzymuje się nagle.

— Cóż tam nowego, przyjacielu?

— Sam nie wiem, czy to mi tak w uszach dzwoni..

— Ale cóż słyszysz?

— Wyraźnie szczekanie psa.

Cyryl ma słuch nadzwyczaj bystry, ale po chwili i ja już słyszę ten sam odgłos, czyżby to był Mirador?

Szczekanie odzywa się raz po raz, lecz tak daleko, że znowu wątpić zaczynamy; nakoniec uci-chło zupełnie. Ha! dziej się wola Boża, wszak dzicy wiedzą już i tak o naszej obecności i potrafią nas wysledzić. Jeżeli wierny mój piesek żyje, muszę mu dać znać o sobie. Podnoszę rewolwer i strzelam w powietrze.

Oho! teraz już niema wątpliwości, szczekanie odzywa się znowu, coraz głośniej, coraz bliżej, i wnet ukazuje się w oddaleniu pocziwe moje psisko, pędzi jak strzała i zmierza już teraz prosto w naszą stronę. A za nim, o, co za szczęście! widzimy naszych jeźdźców, są wszyscy, a jeden wiezie na koniu olbrzymiego zabitego kangura. Teraz już nie obawiamy się głodu.

— Panowie! — woła ten, który jedzie na przedzie — dzicy są niedaleko, w ogromnej liczbie i uzbrojeni.

Już widać rzekę, do obozu naszego jest zaledwie kilkaset kroków, dobywamy ostatnich sił, zmuczeni, zgrzani, przybywamy nakoniec do miejsca, gdzie łódź uwiązana jest u brzegu. W dwóch słowach opowiadamy, jak wielkie niebezpieczeństwo nam grozi. Pierwsza rzecz odpocząć i posilić się. W mgnieniu oka ognisko już bucha płomieniem, zwierzyzna się piecze, zasiadamy do uczyty i naradzamy się, co dalej czynić.

Gdyby powódź dłużej była potrwała, moglibyśmy odplynieć na drugą stronę rzeki, ale wody tak szybko opadły, że owa rzeka szeroka zamieniła się znowu w niewielki strumyczek. Musimy więc przygotować się do obrony. Wyciągamy łódź z wody i sadowimy w nią kobiety, jakby w fortecy, sami stajemy pod bronią dokoła. Sir Reed chce jednak najpierw spróbować, czy mu się nie uda ułagodzić dzikich i myśli wysłać Toma w charakterze parlamentarza, jak tylko się pokażą. Chociaż broń mamy w pogotowiu, nie będziemy strzelać, chyba w ostateczności. Trzeba użyć wszelkich sposobów, ażeby uniknąć walki.

Już idą, już ich widać, zastęp jest bardzo liczny, trzystu najmniej, a wszyscy pomalowani na wojnę, mają rysunki kościotrupów białych na czarnym cielsku. Może być bardzo, że nie znają jeszcze palnej broni; trzeba im pokazać, co ich czeka, jeśli się na nas porwą. Porucznik Robarts mierzy do małego drzewka, strzał pada, gałąź z trzaskiem się odłamuje. Dzicy widocznie są przerażeni tym widokiem, padają plackiem na ziemię, zatykając przed sobą włócznie, przyozdobione w kolorowe piórka.

Na komendę majora wszyscy razem strzelamy do gałęzi, które z chrzęstem padają na ziemię. Spodziewany skutek jest osiągnięty, dzicy przerażeni zrywają się z ziemi i szybko umykają do lasu.

— A to dopiero tchórze! — woła Cyryl, śmiejąc się.

— Nie tryumfujmy jeszcze — rzecze Kanadyjczyk, — coś mi się nie zdaje, ażeby to był koniec.

Mija pół godziny.

— A co, czy nie mówiłem — odzywa się poczciwy Franciszek przyciszonym głosem — patrzcie, znowu to plugawstwo pełza po trawie; zupełnie jak pijawki wyglądają. Oho! co ja widzę. Wszak tam na lewo przed chwilą jeszcze nie było ani śladu tego gaju karłowatych palm. Znamy się na tych sztukach, nie wyprowadzicie nas w pole.

Spoglądamy w tę stronę, bierzemy lornetki do

ręki; bystry wzrok Kanadyjczyka go nie omylił, dzicy użyli na nas zwyczajnego wojennego fortelu. Las składa się tylko z wielkich drzew, zauważyliśmy to dobrze, teraz z pod ziemi wystąpiły całe szeregi niskich krzaków palmowych, które pomalunku postępują; przypatrując się uważnie, dobrze to widzimy. Ten zastęp uszykował się w półkole, zbliża się w taki sposób, że w końcu opasze nas dokoła. Widok ten nic nam dobrego nie wróży, a jednak tak jest osobliwy, że zapominając o trwodze, śledzimy z wielkiem zajęciem ruchy naszych nieprzyjaciół.

— Coś mi się zdaje — rzecze major nadąsany — że to ceremonialne obejście się nasze z temi bydłętami do niczego nie doprowadzi. Jabym sądził, że bezpieczniej byłoby wysłać w tę stronę kilkanaście kulek i powstrzymać dalszy pochód tych wędrujących drzewek.

— A ja myślę — odparł sir Reed — że najpierw trzeba wysłać parlamentarza i spróbować pokojowych układów,

— Czy to tylko bezpiecznie?

— Na teraz nie widzę innego wyjścia. Nie mam serca napadać tych biedaków, byłbym najszczęśliwszy, gdyby się udało uniknąć walki. Wyślę więc do nich Toma w towarzystwie dwóch ludzi, niech on do nich przemówi ich językiem, niech przynajmniej wyrozumie, czego od nas chcą.

— A jeżeli oni rzucą się odrazu na parlamentarza, nie czekając końca przemowy Toma?

— Zawsze będziemy mieli czas pośpieszyć im na ratunek. W ostateczności nabijemy kartaczoownicę. Zresztą wysłańcy nasi na wszelki wypadek będą mieli rewolwery w rękę.

— Niema co, trzeba próbować szczęścia — rzecze major.

Tom uwiadomiony o ważnym poselstwie, które ma spełnić, wyrusza niezwłocznie w towarzystwie dwóch najdzielniejszych Anglików ze służby sir Reeda. Ze trzydziestu dzikich, z tych którzy z początku pełzali po trawie, widząc, że strzały z naszej strony ustały, podnieśli się i usiedli spokojnie na ziemi, zatknawszy włócznie przy sobie. Nasi parlamentarze zmierzają wprost do nich, nie spuszczać z oczu ruchomych drzewek, które się nagle zatrzymują. Upływa kilka minut i o dziwo! nasi ludzie, jakkolwiek sporym krokiem postępują, nie zbliżają się wcale do dzikich. Tamci zdają się zupełnie nieruchomi, siedzą na trawie z rękami złożonemi na włóczni, a tymczasem zawsze też sama odległość ich dzieli od naszych. Zrazu nie możemy pojąć tego cudu, ale wkrótce spostrzegamy, że gromadka dzikich, która przed chwilą znajdowała się w pobliżu wielkiego obalonego

drzewa, teraz jest w znacznej odległości od niego. Ten cud, to po prostu zadziwiająca zręczność i przebiegłość. Każdy z dzikich usuwa się w tył, trzymając włócznię przed sobą, bez najmniejszego poruszenia, a odwrot ten wykonany jest w taki sposób, żeśmy go wcale nie spostrzegli zrazu.

— Oni ich chcą zwiabić w zasadzkę! — woła sir Reed przerażony — trzeba ich przestrzedz o tej piekielnej zdradzie, niema czasu do stracenia — i w tejże samej chwili starzec chwyta swoją gwizdawkę i przeciągły odgłos rozchodzi się po lesie, budząc echa okoliczne. Usłyszawszy to hasło trwogi, trzej ludzie się zatrzymują i w tejże samej chwili widzimy ze zdumieniem o kilkadziesiąt kroków przed nimi podnoszące się z ziemi olbrzymie liście palmowe, a z pod każdego z nich wydobywa się wojownik australski, umalowany jak zwykle do boju, nakształt kościotrupa. Gdyby byli poszli spokojnie dalej, wysłańcy nasi wpadliby w to gniazdo wężów. Sir Reed odgadł dobrze, to była zasadzka. Odgłos gwizdawki tak przeraził dzikich, że znowu wszyscy, nie czekając wystrzałów, umknęli w głąb lasu, a parlamentarze wrócili jak niepyszni do obozu, nie dopełniwszy poselstwa.

Niema co, kiedy niepodobna się z nimi porozumieć, trzeba przedsięwziąć środki obrony. Noc tym czasem zapada, niebezpieczeństwo się wzmacnia, w każdym krzaku może być ukryty nieprzyjaciel, na każdym kroku obawiać się musimy zasadzki. Chcielibyśmy rozpaść ognisko, a tu na nieszczęście niema gałęzi w pobliżu, dalej zaś iść w las ani myśleć w tej chwili. Wkrótce opodał rozpała się płomień jaskrawy i jakby na dane hasło, zewsząd błyskają ognie, naliczyliśmy ich ze dwieście. Las cały zamienił się w wielkie obozowisko dzikich naszych napastników.

Oboz nasz pogrążony jest w ciemności, głęboka cisza w nim panuje. Wzrok nasz nuży się od ustawicznego wpatrywania się w świecące ognie, ręce tężeją zaciśnięte na broni, niepokój straszny nas dręczy, złowrogie milczenie w obozie dzikich więcej nas przeraża od zwyczajnych wrzasków.

Godziny wloką się powoli, kiedyż doczekamy się rana? Co chwila nam się zdaje, że słyszymy jakieś tajemnicze szmery; czy to owady snują się wśród traw, czy dzicy pełzają po ziemi? Straszne niebezpieczeństwo zawisło nad głowami naszemi, cóż to za męczarnia, taka niepewność, takie oczekiwanie! Wierne moje psisko wyje żałośnie, tuląc pysk u kolan moich.

Wtém nagle wśród ciszy wybucha hałas ogłuszający, wrzask dziki, przeraźliwy ze wszystkich stron się odzywa, i w jednym mgnieniu oka otacza nas niezliczona zgraja dzikich. Zanim zdołali-

my stawić jakikolwiek opór, już nas pochwycili, rozbroili i mocnymi sznurami związali od pierwszego do ostatniego. Aniśmy się opatrzyli, gdy niecna tłuszcza, dopełniwszy tego dzieła, zaczęła wynagradzać sobie poprzednie milczenie krzykiem i hałasem szalonym.

— Koo — moo — eee! — Odgłos ten brzmi nieustannie po lesie, niezliczone gromady dzikich zbiegają się ze wszystkich stron; co to za tryumf dla nich, że potrafili podejść białych ludzi i opanować ich bez walki. W jednej chwili znieśli ogromny stos suchych gałęzi i rozpalili ognisko. Przy blaskach płomienia widzimy całą okropność naszego położenia. Wszyscy jesteśmy skrępowani powrozami z lnu nowozelandzkiego, ze dwustu dzikich wyskakuje, wrzeszcząc w niebogłose, dookoła naszego obozu, zajadają nasze zapasy, wyrzucając wszystkie pakunki z łodzi, z dziecinną ciekawością oglądając wszystko.

A jednak nawet w tej strasznej chwili nadzieja nas nie opuszcza, czujemy bowiem instynktownie, że plemię to, jakkolwiek dzikie, nie musi być okrutne. Dotąd nie widzimy w zwyczajach naszych żadnej ochoty znęcenia się nad nami, zapewne więc szło im tylko o to, ażeby nas rozbroić i opanować nasze zapasy żywności i inne przedmioty, które ich chciwość wzbudza. Któż wie, może potrafimy ich skłonić do tego, aby nas puścili swobodnie, może nawet sami nas odprowadzą do krainy Nga-Ko-Tko, gdy im dobrowolnie oddamy wszystko, co posiadamy.

Już prawie wszystkie rzeczy nasze są w rękach dzikich, którzy się cieszą jak małe dzieci z każdego odkrycia, śmieją się do rozpuku, ile razy ujrzą jakiś przedmiot nieznany; jeden z nich, wyglądający na dowódcę, otwiera mój podróżny tłomoczek, przewraca w nim wszystko, rozsypuje na ziemię, ale mała paczka w szary papier owinięta zwraca uwagę jego; podnosi ją, obraca w rękę, rozwija... i nagle odskakuje, jakby piorunem rażony. Ta paczka, poznając ją, to dar doktora Stephensona, przesłany mi przy pożegnaniu, gdy się wybierał na tę wyprawę. Zapomniałem o niej zupełnie wśród rozlicznych przygód. Dziki wódz otworzył niewielkie pudełko i wyjął z niego figurę węża z drzewa wyrobioną. Ona to takie na nim wywarła wrażenie.

— Kobong! kobong! — woła z przerażeniem najwyższem, a na to czarodziejskie słowo tańce i śpiewy ustają, cała zgraja dzikich skupia się koło nas z oznakami największego uszanowania, w jednej chwili przecinają nasze więzy, padają na twarz przed nami, powtarzając ciągle: — Kobong! kobong! — Tymczasem zbliża się nowa gromadka, a na czele jej postępuje wysoki, okazały mężczy-

zna, słysząc te wołania przyśpiesza kroku, chwytając ręk wodza tajemniczą figurę węża, wydaje okrzyk radości i bieży prosto do nas. Przypatrując mu się bliżej, widzimy, że cera jego znacznie jest jaśniejsza, niż u innych Australczyków, a twarz ozdobiona rudawym zarostem. Człowiek ten przemawia do nas dość czystą angielszczyzną:

— Przebaczenie, panowie, ten kobong naszego plemienia otworzył nam oczy, popełniliśmy straszne szaleństwo, przebaczenie i bądźcie pozdrowieni. My należymy do plemienia Nga - Ko - Tko, a ja jestem synem Czerwonego Kangura.

## XII

Pobyt u Australczyków. — Skarby wygnańca. — Nowy plan dalszej podróży. — Żegluga. — U przystani. — Straszliwa niespodzianka. — Fregata wojenna. — Rabusie morscy. — Zwycięstwo.

Dalszy ciąg naszej podróży odbywał się zupełnie, jakby jakiś pochód tryumfalny. Pocziwi dzicy wszelkimi sposobami starali się nam przychylnie swoją okazać. Znosili nam taką obfitość zwierzyny, owoców, że gdybyśmy byli chcieli spożywać wszystkie te przysmaki, pochorowalibyśmy się niezawodnie z przeladowania żołądka.

Na spodzie naszej łodzi znalazły się koła zapasne i znów sporządziliśmy sobie wóz wygodny, zaprzęgliśmy do niego uratowane konie i puściliśmy się w drogę, otoczeni licznym orszakiem przyjaciół naszych Australczyków. Tom jest trochę upokorzony wyższością młodego wodza, który daleko lepiej od niego mówi po angielsku i powierzchowność ma na wpół europejską, z wyjątkiem stroju, a raczej braku wszelkiego stroju, w czym już musi się stosować do obyczaju krajowego.

— Opowiedz mi teraz, mój przyjacielu — rzecze sir Reed do młodego wodza — dla czegoście nas uważali zanieprzyjaciół i pojмали w niewolę? Gdyby szczęśliwy przypadek nie zdarzył, że kobong wasz znalazł się pomiędzy naszymi pakunkami, byłibyśmy może z rąk waszych śmierć ponieśli.

— O nie, nie — zawołał żywo młodzieniec — całe nasze plemię już od lat wielu miało nakaz, ażeby nikt nie ważył się mordować ludzi białych. Nawet sprzymierzeńcy nasi ich szanują. W tych stronach życiu waszemu nic nie zagrażało.

— A to jakaż była przyczyna tej napaści?

Młody wódz widocznie był zakłopotany, wahał się przez chwilę i jąkał, nakoniec powiedział:

— Pan może nie wie o tém, że biały kolor u nas oznacza wojnę; nasi ludzie widząc wasze ubiory, sądzili, że przybywacie do nas w zamiarach wojowniczych, a mnie tu nie było i nie mogłem ich

z błędu wyprowadzić, ja przed chwilą dopiero nadzedłem z moim oddziałem.

Uśmieliśmy się serdecznie z tego wyjaśnienia, nigdybyśmy się tego niedomyślili.

— A więc ta mała figurka drewniana ma dla was tak ważne znaczenie? — pytał dalej sir Reed.

— To jest wielki kobong naszego plemienia, wycięty z korzenia drzewa poświęconego. Nie wiem, jakim sposobem znak ten dostał się w wasze ręce, ale słyszałem, że ojciec mój podarował go kiedyś, bardzo dawno, wielkiemu białemu uczoneму, który był przyjacielem jego.

— A teraz ja go znów dostałem w podarunku od mojego przyjaciela, doktora Stephensona — odezwał się na to, zbliżając się do rozmawiających.

— To ten sam, tak właśnie się nazywał uczonego przyjaciel Czerwonego Kangura, mojego ojca.

Sir Reed wziął potem młodego wodza na rozmowę poufną, a gdy powrócił do nas, spostrzegliśmy, że miał łzy w oczach i nie mógł ukryć głębokiego smutku. Miss Marya i jej dwaj bracia domyślili się odrazu, że miał dla nich bolesne jakieś wieści. Biedne dzieci nie miały odwagi pytać o ojca, ale teraz musiały się o całej prawdzie dowiedzieć. Wyznaniec nie doczekał się ich przybycia; wkrótce po napisaniu listu zgasł na ręk pocziwego Józefa, błogosławiąc ukochanym swoim dzieciom. Australczycy złożyli ciało jego w poświęconym gaju, w cieniu pięknych rozdrębów.

Szybko już teraz zbliżamy się do celu; młody wódz wyprawił wysłańców naprzód, dając znać o naszym przybyciu, sędziwy Kangur Czerwony, to jest Szkot, Józef Mac - Knight, wyszedł na spotkanie nasze z licznym orszakiem Australczyków. Jest on teraz najwyższym wodzem całego plemienia, i z wielką godnością sprawuje swoje dostojenstwo. Starzec zalał się rzewnymi łzami, witając dzieci swojego przyjaciela. Gdy się dowiedział, że widziałem niedawno doktora Stephensona, zaczął się rozpytywać o niego z największą serdecznością, ogromną mu to sprawiło przyjemność, gdym go upewnił, że doktor o nim pamiętał i wspominał go życzliwie. Człowiek ten, zerwawszy zupełnie z życiem cywilizowanym, dbał o to jednak niezmiernie, aby Europejczycy dobre o nim mieli wyobrażenie.

Stolica plemienia Nga - Ko - Tko składa się z kilkuset chat, rozłożonych w malowniczym położeniu. Chaty te budowane są bardzo porządnie z gałęzi, u dołu w ziemię zatkniętych, u góry powiązanych roślinnymi włóknami. Szpary pozatykane są gliną i przykryte korą drzewną, a wejście, zwrócone zawsze do wschodzącego słońca, ma w miejscu drzwi rodzaj kotary ze skóry kangura.

Pościel skada się zwykle z suchych ziół aromatycznych, także skórami przykrytych. Ale, co już jest rzeczą zupełnie niezwykłą w Australii, przy każdej prawie chacie znajduje się kawał uprawionego gruntu, na którym rosną różne warzywa krajowe, jadalne korzonki, starannie zasadzone i pielęgnowane. Jest to dowód, że Czerwony Kangur wniósł tu początki cywilizacji, chociaż sam zdziczał pośród swojego przybranego ludu. Jaka szkoda, że Europejczycy, mieszkający w Australii, zamiast prześladować biednych krajowców i wyteplić ich, jak zwierzęta drapieżne, nie starają się wpłynąć na nich, zachęcać do uprawy roli, hodowli bydła i odmiennego sposobu życia.

(D. c. n.).

### S Z A R A D A (W.).

Mieciu, daj z twego imienia  
Głoskę jedną, Stasia drugą,  
Trzecią nam doda Terenia  
Gotowa śpieszyć z usługą;  
Cz w a r t e j pożyczym od Jadzi,  
Leonek piątą dołoży,  
A wszyscy będziemy radzi,  
Bo gdy Wacia poprosimy,  
To z s z ó s t ą całość się złoży.  
Po namyśle odgadniemy:  
Nazwę pory słotnej, błotnej,  
Codzienne w powietrzu zmiany,  
Zdrowie stracić łatwo — Dziatwo!  
Módl się do Pana nad Pany,  
By dał za to dobre lato.

### Łamigłówka w kwadraciku.

2 A — 1 D — 2 L. — 1 M — 2 O — 1 P.

Ułożyć w kwadraciku z 9 podziałek, aby utworzyć w jednym i drugim kierunku: 1) Nazwisko poety. 2) Nazwę poezji lirycznej. 3) Nazwisko autora.

### Łamigłówka zgłoskowa (K. A. Z.).

Z następujących zgłosek: a-cy-e-fu-ga-ka-memur-nar-ni-łyt-ślub-tan-tro-zy. Ułożyć 6 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane od góry do dołu, utworzą imię i nazwisko jednego z najdzielniejszych królów polskich.

1. Obrządek religijny. 2. Jezioro w środkowej Afryce. 3. Stan wypoczynku. 4. Okrycie zimowe. 5. Rzeka w Azji. 6. Kwiaty wiosenne.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 9-go.

#### Łamigłówki liczbowej.

Waleryan Kalinka. — War. — Alina. — Lin. — Elki. — Rak. — Iran. — Nil. — Kawa. — Lira. — Newa. — Kalina. — Anna.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 10-go.

#### Łamigłówki:

- 1) Zwierz — Kot — Arcybiskup gnieźnieński.
- 2) Ryba — Anioł — Kapucyn, sławny lekarz sprowadzony z Paryża do Polski za panowania Jana Sobieskiego.
- 3) Ptak — Czapla. — Scholastyk Płocki.
- 4) Zwierz — Zając. — Proboszcz Krakowski, dyrektor kaplicy królewskiej za czasów Anny Jagielonki.
- 5) Ptak — Kawka. — Czech, poeta religijny.
- 6) Zwierz — Odyniec. — Poeta ze szkoły Mickiewiczowskiej.
- 7) Ptak — Wróbel. — Pierwszy tłumacz psalmów Dawida na język polski.
- 8) Ptak — Struś. — Lekarz Zygmunta Augusta.
- 9) Owad — Komar. — Jerzy, w XVII w. wystawiwszy własnym kosztem pancerną chorągiew, walczył na jej czele we wszystkich potrzebach ojczyzny.
- 10) Roślina — Jaskier. — Sekretarz magistratu w Krakowie.

Kaczkowski.

### Łamigłówki kryształowej:

E  
a l e  
w i e l e  
E l e u z y s  
B a z a r  
R y k  
s

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Karusi Gr. w Józków-Rogu. I my także radziłyśmy tak miłą dla nas korespondencją przedłużyć o ile można, pojmujemy jednak, że bieg czasu nie może być powstrzymany... Będziemy więc i w następnym kwartale przysyłać Wieczory pod tym samym adresem, chociaż w każdej chwili bez cienia urazy gotowi jesteśmy zastąpić je poważniejszym pismem. Ustęp z podróży, bardzo wdzięcznie napisany, wydrukujemy chętnie i to niezadługo. Jaki ma być podpis? Prosimy o śpieszną wiadomość.

Pani W. Za szaradę i łamigłówkę dziękujemy serdecznie, o dalsze współpracownictwo prosimy.

# Zwawy Chłopczyk.

St. Moniuszki.

First system of the musical score. It consists of a vocal line on a single staff and a piano accompaniment on two staves (treble and bass clef). The key signature has three sharps (F#, C#, G#) and the time signature is 2/4. The vocal line begins with a whole rest, followed by a melodic phrase. The piano accompaniment features a rhythmic pattern of eighth notes in the bass and chords in the treble.

O jam so - bie chło - pczyk zwa - wy, I do pra - cy i za - ba - wy

Second system of the musical score, showing the piano accompaniment for the first two staves. The treble clef staff contains a series of chords and eighth-note patterns, while the bass clef staff continues with a steady eighth-note accompaniment.

Mó - wią żem ja dziecko ży - we A - le ser - ce mam po - czi - we.

Third system of the musical score. It includes the vocal line on the top staff and the piano accompaniment on the two lower staves. The vocal line continues with a melodic phrase. The piano accompaniment maintains its rhythmic accompaniment.

Fourth system of the musical score, showing the piano accompaniment for the final two staves. The treble clef staff concludes with a final chord, and the bass clef staff ends with a few final notes.

Ledwie zejdzie słońce z rana,  
Już mym śpiewem wielbię Pana,  
A potem dla Jego chwały  
Pracuję pilnie dzień cały.

W wieczór znowu wyspiewuję,  
Za śliczny dzionek dziękuję,  
Przeżegnam się w Imię Boże  
I w łóżeczko się położę.